

PRZYPADEK LUB PALEC BOŻY

czyli jak kolonie letnie w Grabownie
przestawiły zwrotnicę mojej życiowej pasji

[Fragment]

[...]

I wtedy zadziałał przysłowiowy „palec boży”, a może był to raczej przypadek – jak w filmie Kieślowskiego. Szedłem ulicą Piotrkowską i na odcinku od Zielonej do Traugutta spotkałem kolegę z klasy, z którym chodziłem do „Budowlanki”. Gdy ja działałem w ZHP on był rzutkim działaczem ZMS-u. Od słowa do słowa zwierzyłem mu się, że siedzę w mieście, bo z powodu skupienia się na egzaminie wstępnym na UŁ nie zorganizowałem sobie żadnego wakacyjnego wyjazdu. I wtedy usłyszałem od niego: „Z nieba mi spadasz. Właśnie usilnie szukam kogoś, kto pojechałby za mnie jako wychowawca na kolonię letnią. Specjalnie ukończyłem kurs, ale trafił mi się atrakcyjny wyjazd do ośrodka ZMS w Borkach. Jedź za mnie, jesteś przecież instruktorem ZHP, nie musisz mieć kursu.” I stało się! Następnego dnia poszedłem do Inspektoratu Oświaty dla dzielnicy Łódź-Górna, który był organizatorem tej kolonii, podpisałem umowę i dowiedziałem się o terminie odjazdu z Dworca Kaliskiego oraz lokalizacji kolonii – w poniemieckim pałacyku w miejscowości Grabowno Wielkie k. Twardogóry. [Wieś, znana głównie z tego, że jest tam węzłowa stacja, gdzie łączą się dwie linie kolejowe w jedną – do Oleśnicy i dalej – Wrocławia.]

Jak się okazało kolonia ta była jedynie finansowana przez oświatę. Jej prawdziwym organizatorem okazał się łódzki Sąd dla Nieletnich. Kolonistami byli podopieczni kuratorów sądowych a także kilku wychowanków Zakładu Wychowawczego przy ulicy Łucji... Kierowniczką kolonii była pani kurator zawodowy tegoż sądu, nosząca – wtedy nic mi nie mówiące- nazwisko Zirk-Sadowska. Na kolonię przyjechała z dziewięcioletnim synkiem Markiem*, którego widywałem później siedzącego najczęściej w otaczającym pałacyk parku - z kolejną książką w ręku. Z kolonistami się „nie zadawał”.

Ale wróćmy do tematu. Dostałem grupę 20 chłopców, w wieku od 12 do 15 lat. Tym piętnastolatkiem był Tolek z „Łucji” – kontaktywny, fizycznie bardzo dobrze rozwinięty małolat. Od pierwszego spojrzenia wiedziałem, że ma wśród pozostałych

niekwestionowany autorytet. Jako że miałem za sobą lekturę „Poematu pedagogicznego” Antoniego Makarenki – już pierwszego dnia mianowałem go grupowym. Nie miałem z resztą wyboru: i tak pozostali chłopcy w naturalny sposób podporządkowali się Tolkowi. I nie musiał tej dominacji uzasadniać siłą. Wystarczyło, że otaczała go aura „tego z Łucji”....

Nie było łatwo. Przypomnę, że miałem wtedy 19 lat, a jedynymi moimi doświadczeniami pedagogicznymi było prowadzenie drużyny zuchów i kierowania latem 1961 roku kolonią zuchową. Oczywiście – nie byłem tam sam, były inne grupy i inni wychowawcy. Jak się już pierwszego wieczora podczas odprawy u pani kierownik dowiedziałem – była to „doświadczona kadra wychowawcza” - wszyscy byli w poprzednich latach wychowawcami na poprzednich edycjach tych kolonii. Pani ZirkSadowska zaleciła mi, abym we wszystkich dla mnie nowych, albo trudnych sytuacjach radziłem się doświadczonych kolegów.

Pierwszą radą, jaką od nich dostałem było zalecenie, abym sobie w parku poszukał dobrego kijaszka i chodził z nim zawsze, a w przypadku nieposłuszeństwa wychowanka użył go dla jego zdyscyplinowania. Cóż, gdy starsi koledzy tak doradzili – kijaszka z gałązki wierzby sobie zrobiłem. Chodziłem z tą kijkoróżgą dwie doby, aż do trzeciego wieczora, kiedy miał miejsce ten, jak się okazało, brzemienisty w skutki incydent.

A było tak: Dziś już dokładnie nie pamiętam, ale na kolonii cisza nocna obowiązywała chyba od godziny 21. W teorii wychowankowie mieli być wtedy, pomyli, w swoich łóżkach i po zgaszeniu światła, w ciszy, zasypiać... Wiąta wio – łatwo powiedzieć. Ale jak tu zmusić dwudziestoosobową gromadę chłopaków do spania o tak wczesnej porze? Chichotali, barowali się na łóżkach, jednym słowem – totalne „śmichychichy” z regulaminu. Oczywiście – moim obowiązkiem było sprawić, aby jednak doprowadzić do uszanowania owej ciszy nocnej. Dodatkowym utrudnieniem w osiągnięciu tego celu był fakt, że sypialnia mojej grupy składała się z dwu pomieszczeń w układzie litery L – połączonych drzwiami. Gdy interweniowałem w tej dalszej sali – w tej pierwszej towarzystwo szalało. Gdy próbowałem tych uciszyć – szaleli tamci... W pewnej chwili podszedłem do najbardziej skaczącego na łóżku młodzianka i z zamiarem pogłaskania go po głowie podniosłem swoją rękę ze słowami „No uspokój się, połóż się, nie skacz” . Wtedy on, w takim wypracowanym latami doświadczeń odruchu, osłonił się obiema rękoma przed spodziewanym „ciosiem w łeb”! W jednej sekundzie zrozumiałem

wszystko! Nikt nigdy tego chłopaka nie głaskał po głowie. Jeśli ktoś z dorosłych podnosił rękę, to tylko po to, aby go uderzyć. W jednej chwili dotarła do mnie podstawowa prawda: nie tędy droga, panie wychowawco...

Już dziś nie pamiętam jak to osiągnąłem, ale w końcu chłopcy się uspokoili i zasnęli. Mogłem wyjść z sali. Wyszedłem, z ową różgą, z budynku. Było ciemno i cicho... Wszedłem w głąb parku i - ktoś powie w teatralnym geście - połamałem ów kijek na drobne kawałki, rozrzuciłem w trawie i sam przed sobą złożyłem ślubowanie: „Włodek – nigdy więcej nie będziesz uciekał się do stosowania przemocy dla osiągnięcia posłuszeństwa wychowanków”. Słowa dotrzymałem – nie tylko na tej kolonii, ale też później - we wszystkich moich późniejszych wcieleniach wychowawcy.

Już następnego wieczora wprowadziłem nowy zwyczaj: zamiast „ujarzmiania” niesfornych źrebaków stawałem w drzwiach łączących oba pomieszczenia i opowiadałem im różne historie. Przez kilka pierwszych dni były to moje wspomnienia z obozów harcerskich. Pierwszą była gawęda o tym, jak to w lipcu 1958 roku wyładowano nas i całe obozowe mienie na stacji Gołubie Kaszubskie, jak wędrowaliśmy kilka kilometrów pieszo na polanę w pobliskim lesie, na której oprócz trawy NIC NIE BYŁO... Do wieczora musieliśmy rozstawić przywiezione tam chłopskimi furami namioty, w stodole w pobliskiej wiosce napchać słomą sienniki i przywieźć je wozem drabiniastym na obóz, a także zbudować z wyciętych w lesie żerdzi prycze, aby mieć na czym spać... Po jakimś czasie nikt nie zadawał już pytań typu „Panie wychowawco, a jak to było z...” Wszyscy spali. Po kilku wieczorach zabrakło mi wspomnień, zacząłem opowiadać historie zapamiętane z przeczytanych książek przygodowych...

Chłopcy szybko dostrzegli zmianę w postępowaniu swego wychowawcy. I docenili to... Pewnej nocy, już po „usypiancu” i po cwieczornej odprawie w pokoju kierowniczkim, wróciłem po cichu do grupy, gdyż wychowawcy na tej kolonii mieli swoje łóżka w salach, gdzie spali ich podopieczni. Po omacku zacząłem sobie ścielić do spania. Łóżko było przez cały dzień zasłane kocem. Nagle poczułem, że pod nim są jakieś twarde, kuliste przedmioty... To były jabłka, które moi kochani podopieczni (nie miałem pojęcia kiedy) „zwinęli” z pobliskiego sadu i uznali, że ulubionemu wychowawcy „dola” się należy.

Rano nie zrobiłem chłopcom awantury. Wiedziałem, że w ich środowiskach takie

pójście „na dzierzawę” to stały element gry każdej jesieni, że to w ogóle w ich subkulturze nie jest uważane za kradzież. Rano podziękowałem im za „prezent”, ale wypytałem skąd te jabłka. (Bo takie są dobre, może by...) Poszedłem z Tolkiem do właściciela sadu, dowiedziałem się, że jest zatręśnienie jabłek na drzewach a nie ma kto ich zrywać. Zgłosiliśmy (przy poparciu Tolkagrupowego) ofertę, że przyjdziemy całą grupą zrywać. Przyszliśmy...

Chłopcy dwoili się i troili, nazrywali wiele skrzynek jabłek. Za tę pracę dostaliśmy dwie skrzynki dorodnych owoców, które – przy aprobacie całej grupy – przekazaliśmy uroczyście intendentce do magazynku – były dla całej kolonii na podwieczorek. Dumnym z siebie wychowankom przy okazji wieczornej „pogadynki” wyjaśniłem, że tamten sposób zdobycia jabłek był jednak złym, kradzieżą, że przecież większą przyjemność mieli, gdy dostali jabłka za pracę. Pora kończyć te przydługie wspomnienia. Ostatniego dnia kolonii kierowniczką ogłosiła, że nasza grupa zwyciężyła we współzawodnictwie na najlepszą grupę. Moi starsi koledzywychowawcy prawie się do mnie nie odzywali, a ja wróciłem do Łodzi i za miesiąc rozpocząłem studiować polonistykę.

Bardzo szybko w mojej głowie pojawiła się, uporczywie powracająca, myśl: „*Od najciekawszej książki ciekawszy jest żywy młody człowiek*”. Konsekwencją tych myśli była malejąca motywacja do studiowania filologii polskiej, w tym gramatyki opisowej, starocerkiewno-słowiańskiego... [...]

Źródło: Magazyn Sieci Rozwoju, luty 2017 r.

***Marek Zirk-Sadowski** – od 2000 roku profesor prawa, od ukończenia studiów – nauczyciel akademicki na Uniwersytecie Łódzkim, od 1994 roku Sędzia Naczelnego Sądu Administracyjnego, od 15 lutego 2016 Prezs NSA